

GAWĘDY

Zamawiając i przygotowując teksty do „Ziemi”, staramy się dbać o to, by miały one odpowiedni poziom popularnonaukowy, by w języku dyskursywnym, publicystycznym dostarczały Czytelnikom wiedzy z zakresu krajoznawstwa, zgodnej z wyposażeniem umysłowym ludzi XX w., by pobudzały do myślenia i do dyskusji. Autorami rozpraw i artykułów są z jednej strony naukowcy, a z drugiej działacze PTTK, pisarze i publicyści regionalni, dziennikarze, prawdziwi miłośnicy krajoznawstwa, którzy chwytają za pióro z potrzeby serca.

Wśród jednych i drugich znaleźć można niekiedy urodzonych gawędziarzy, autorów, którym nieobca jest umiejętność konfabulacji, przedstawiania swojej wiedzy i doświadczenia krajoznawczego w formie narracyjnej. Rzecz w tym, że przy obecnym kulcie naukowości, nie zawsze trafnie rozumianym scjentyzmie, wszystko, co literackie, nie cieszy się uznaniem poza obszarem literatury pięknej. To samo dotyczy dziedzin, które nas interesują.

Warto się jednak zastanowić, czy jest to słuszne. Jeśli bowiem rozwijamy turystykę i krajoznawstwo, jeśli zaopatrujemy je w określoną ideologię (co znalazło wyraz m.in. w rezultatach kampanii PTTK „Polska naszych dni”), to może warto by też pobudzić zdolnych, dobrze trzymających pióro w ręku, szczególnie młodych ludzi do tego, by pisali relacje, notatki, wspomnienia czy choćby dzienniki z wypraw turystycznych, wycieczek i obozów.

Gatunkiem najbardziej odpowiadającym potrzebom w tej mierze wydaje się gawęda literacka, rozumiana jako opowieść napisana w dość luźnej formie, będąca swoistym montażem opisów własnych przeżyć, anegdot, cytatów, obrazków, relacji, dialogów itp., połączonych jakąś osią narracyjną (u krajoznawców będzie nią zazwyczaj opowieść o wędrówce). Forma ta wolna jest od szczególnych rygorów, jakim podlega konstrukcja noweli czy innego gatunku prozy. Łatwo też w niej spożytkować posiadany materiał (zapiski, dzienniki osobiste itp.), łącząc go z wiedzą historyczną, przyrodniczą, społeczną, związaną z regionem, którego utwór ma dotyczyć.

Drukujemy dwa teksty o takim charakterze: jeden z nich jest oparty na emocjonalnym przeżywaniu przygody krajoznawczej, w drugim forma narracyjna zastosowana została jako chwyt literacki, choć opisane zdarzenia są autentyczne. Oba jednak, jak sądzimy, spełniają kryteria tego działu, z pożytkiem bowiem łączą wartości poznawcze i elementy przeżycia indywidualnego, a także przekazują atmosferę czy nastroj wydarzeń.

Wartościowe teksty tego rodzaju spotkają się zawsze z przychylnością ze strony naszej redakcji. (Red.)

Z notatnika krajoznawcy

Narew

We wschodniej części Puszczy Białowieskiej ma swoje źródła Narew, jedna z najpiękniejszych i najbardziej zadziwiających rzek polskich.

„Woda Narwi w pobliżu jej źródła ma kolor nieco mętny i płowy; przeciwnie na Podlasiu i Mazowszu odznacza się dziwną przezroczystością i sinem zabarwieniem” — informuje *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego* wydany w 1885 r.

Jaka naprawdę jest ta Narew? Według dostępnych mi źródeł, oczekiwała mnie mnogość ptactwa wodnego i błotnego. Przygotowałem się do tego spotkania zabierając dobrą lornetkę, aparat fotograficzny z teleobiektywem i atlas ptaków. W dolinie Narwi lasów nie brakuje. A wśród tych lasów spotkać można nie tylko zwierzynę, lecz obejrzeć także wioski z zachowanymi jeszcze resztkami kultury ludowej. Nad brzegami rzeki mieszka ludność pochodzenia białoruskiego, w jej wodach przeglądają się chaty drobnoszlacheckich wiosek, zamieszkałych przez potomków szlachty zagrodowej co to „na zagrodzie równa wojewodzie”. Za pasem nadrzecznych łąk rozpoczynają się lasy Puszczy Kurpiowskiej, w których „Kurpik siedzi” i gdzie można obejrzeć jeden z oryginalniejszych regionów kraju.

„Największe lasy są puszciami zwane — pisał Wincenty Pol w *Obrazach z życia i natury*, wydanych w latach 1869—1871 — a z tą mamy i oddzielny ród Puszczaków Mazowieckich, którzy pucze nad Narwią osiedlili: i owszem Mazowieccy Puszczenie czyli Kurpie mogą być uważani za jeden z pierwotnych leśnych rodów osiadłych na historycznym obszarze Polski: co znowu ztąd poszło — że Narew z dopływami swemi jest na obszarze Wisły i w organizmie przy-

rodzonym tej rzeki reprezentantką wód leśnych, które z tych puszczy wywodzi i po połączeniu z Bugiem do Wisły wylewa.

Kraina puszczy, leśnych brodów i wód leśnych jest już z natury swej odrębną niejako dzielnicą w pojęciach natury — ztąd też i rody na tej ziemi osiadłe mają ten typ odrębności rodów leśnych, który się w ich sposobie życia, zarobkowania, w ich obyczajach i w gwarze miejscowej mowy odbija”.

Narew, nazywana księżną rzek Mazowsza, jest także kluczem do Podlasia, przez które płynie. Z Podlasiem i Narwią splotyły się dzieje naszego kraju. Łowiąc dalekie echa historii tutaj można w pełni odczuć to, co jest Polską. W Krakowie bije serce Polski, Warszawa jest jej głową, nad wodami Narwi można spotkać jej duszę.

Podlasie to gigantyczna brama przejściowa między obszarami etnograficznymi Polski, Litwy i Rusi, ziemia wielokrotnie przechodząca z rąk do rąk, zmieniająca swoje granice, sąsiadująca z legendarnymi Jaćwingami; kraina która w swojej nazwie określa już swój charakter i historię. Podlasie — ziemia „pod lasami”, Podlasie — ziemia leżąca w sąsiedztwie Polaków—Lachów, po prostu „Pod Lasze”. Każda z interpretacji etymologicznych jest trafna, każda z nich przekonuje.

„Piękne jest wybrzeże Narwi! Niziny z jednej a wysokie kilkadziesiąt łokci wzgórza z drugiej strony ciągną się na przemian, tworząc malownicze wąwozy, doliny zamienione na pastwiska lub łąki, trzęsące się błota, zarośnięte trzcina i sitowiem, dające schronisko stadom dzikich kaczek, czajek i innych mieszkań-

ców błot... Rozrzucone na wzgórzach miasta i miasteczka świecą z daleka ścianami domów i kwiatów... Pośród tych wżórz i dolin, lasów i torfowisk płyną spokojnie ciemne wody Narwi, niosąc na swym grzbiecie sznury tratw, a na nich wesołych i dziarskich flisaków... Gdy tratwy na noc przybijają do jakiego miasteczka, a flisacy gotują sobie wieczere, zapalają na nich dziesiątki ognisk i skracają sobie czas muzyką i śpiewami”.

Tak opisywał Narew urodzony nad jej brzegami Adam Chętnik, Kurp i miłośnik wszystkiego, co kurpiowskie i narwiańskie. Przez wiele lat patrzył codziennie z wysokiego brzegu nowogrodzkiego na wody Narwi, na te dziesiątki ognisk, które rozpalali oryle żeglujący rzeką od Puszczy Mazurskiej, Augustowskiej, Białowieskiej.

Narew i Narewka były zdadne do spławu drewna od samych niemal źródeł. Ścięte w Puszczy Białowieskiej drewno gromadzono na bindugach, jedno z takich składowisk znajdowało się nad Narewką w pobliżu Dębu Jagielly w dzisiejszym rezerwacie ścisłym.

Wsiadam do kajaka i zaczynam swoją wędrówkę z biegiem Narewki. Rzeka meandruje, płynie wolno i leniwie. Szerokość nadszpiewana; do tej pory oglądałem Narewkę tylko z ładu i zawsze wydawała mi się bardzo wąska. Teraz widzę, że flisacy, szczególnie wiosną, spokojnie mogli tym szlakiem spławiać swoje tratwy.

Przed Widłami pierwsza poważniejsza przeszkoda: kilka dni wcześniej przeszła rzeką kosiarka wodna; koryto rzeki jest dokładnie zakneblowane ściętymi kłaczami i korzeniami trzciny i sitów. Trzeba wysiąść z kajaka i burłaczyć go z brzegu. Przebijam się przez nadbrzeżne szuwary, grzęznę w błocie, wdeptuję i wciskam w wodę strefy potężnych kaczanów, ciągnę kajak za burty i za hol, pomagając sobie okrzykami „hej-rup”.

Pod stromym brzegiem Wideł kilka zwalonych drzew. Robi się nagle leśnie

i dziko. Szukam zimorodka, który tutaj ma gniazda, oglądam się za śladami żerowania bobrów; przed kilku laty tutaj żyła w jamach brzegowych bobrza rodzinka. Ciężki brak zupełnie, niemal pewne, że bobry wyniosły się z Wideł. Leśnicy tłumaczą to słabą bazą paszową. Można przypuszczać, że z powodu ubóstwa tej bazy, braku pewnych gatunków np. osiki, bobry rychło opuszczają także żeremia nad Hwoźną. Trudno mi jednak zrozumieć, dlaczego nie podsadza się potrzebnych bobrom gatunków drzew?

Wieczorem długo siedzę przy ognisku i słucham nocnego koncertu sów i lelków. Pod wysokim brzegiem, na którym umieściłem namiot, płynie cicho Narewka i znika wśród snujących się nad łąką oparów.

Pogoda od rana doskonała. Tak doskonała, że wkrótce nie chce się płynąć; dają się nieść wodzie i tylko na raptownych skrętach pomagam rzece w kierowaniu kajakiem.

Nad kajakiem potężny orzeł bielik. W szponach trzyma jakąś zdobycz, z tyłu atakuje go kruk. Birkut gwałtownie zmienia pozycję i nie wypuszczając zdobyczy atakuje kruka dziobem, skrzydłami i pazurami. Z zadartą do góry głową obserwuję ten pojedynek, który ostatecznie kończy wycofanie się kruka.

Tak więc wygląda krajobraz narwiański! Horyzont zamknięty jest wysokim, północnym brzegiem doliny Narwi. Wokół mnie płaska równina łąk, udekoroowana kopcami siana. Na łąkach pracują kosiarze, nad łąkami wiszą białe baloniki cumulusów. Za kosiarką kroczy kilkanaście bocianów. Rytmicznie kiwiają długimi szyjami, człapią dostojnie, poważnie i bardzo niechętnie usuwają się na bok, zajęte pilnym przepatrywaniem łąki w poszukiwaniu żab.

O odległych czasach, w których szumiała tu puszcza, przypomina tylko nazwa: uroczysko Wilcze Gardło. Dzisiaj lasy odległe są o przeszło kilometr od

rzeki. Na zachodnim brzegu kompleks Puszczy Ładzkiej, łączącej się z zielonym morzem Puszczy Białowieskiej a na północy las uroczyska Odnoga.

Nad brzegami Narwi tłumy ludzi. Jest niedziela, kolejny dzień upalny, kto żyw wyległ nad wodę.

Niemal wszyscy łowią ryby. Nikt tradycyjnie — wędką. Rzadko kto — siecią. Prawie każdy — rękami.

Pod każdym bardziej stromym brzegiem, pod niemal każdym krzakiem, tkwi w wodzie półnago mężczyzna. Tyłem do nurtu rzeki, zanurzony po szyję, szpera rękami pod wodą, usiłując złapać w dłonie rybę. Sztukę takiego łapania ryb opanowali wszyscy niemal w doskonałym stopniu. Zarówno dorośli, jak i kilkunastoletnie wyrostki. Raz po raz wydobywają z wody rybę i rzucają ją na brzeg ku oczekującym tam partnerom połowu.

Spotkać można tam „hurtowników”. Ci łowią w zespołach, najczęściej po cztery osoby. Ten rodzaj połowu rozpowszechniony jest na całej bez mała długości Narwi. Łowiących w ten sposób spotykałem na górnej Narwi, w środkowym jej biegu w okolicach ujścia Biebrzy oraz na Kurpiach. Mężczyźni wchodzą do wody w ubraniach, na szyjach mają zawieszone na długim sznurze płócienne torby, w które wrzuca się zdobycz. Łowi się przy pomocy sieci. Czasem są to „sanie” lub bardziej skomplikowana „kłonia”, niekiedy „brodnia” lub „komla”. W każdym wypadku łowiący ciągną sieć po dnie i co jakiś czas przystawiają ją do brzegu zagarniając nogami wodę tak, aby nagarnąć ryby do środka sieci.

Kłusownictwo na Narwi jest zajęciem starym jak świat. *Słownik Geograficzny* z 1885 r. notował: „Narew należy do rzek dość rybnych, a byłaby bardzo rybna, gdyby jakieś przepisy gospodarcze ograniczały w praktyce dzisiejsze rybołówstwo, które nosi na sobie wszystkie cechy zwykłego niszczytelstwa.

Truczina i ośc należą tu do pospolicie używanych. Rybacy mają oddzielne sieci do wylławiania młodego zarybku, a na-

wet nie przepuszczają ikrze złożonej w wodzie przez ryby, którą gotują i spożywają... Rybołówstwo jest tu przemysłem niektórych wiosek a rybacy podlascy posiadają najwięcej sposobów łowienia.

Oprócz rozmaitego gatunku sieci, najważniejszą rolę w tutejszym rybołówstwie odgrywa tak zwany jaz albo grobla grodzona w poprzek rzeki. Jaz grodzą rybacy z pali, faszyny, kamieni i darniny, zostawiając w nim dla przepływu wody kilka otworów, zwanych oknami lub uwodami. Jazy na splawnych rzekach są zabytkiem barbarzyństwa i od wieków były przez prawodawstwo polskie zakazywane, ale pomimo to rybacy naprawiają ciągle i budują jazy nowe, a niedawno w jednej gminie naliczono ich całą setkę.”

Tego typu jazy napotykałem w czasie spływu na bocznych korytach Narwi. Część zniszczona, część nosi ślady świeżej roboty. Jak więc widać niewiele zmieniło się w ciągu bez mała stu lat.

Od namiotu — rozległy widok na łąki w dolinie rzeki, na daleki zarys borów Puszczy Ładzkiej, na wstęgę Narwi. Na nadbrzeżnych łąkach pasą się konie i krowy, drepcą stada gęsi. Powleczoney warstewką mgiełki, krajobraz ten wydaje się nierealny.

Na horyzoncie rząd brzoź wytycza szlak jakiegoś traktu. Drzewa maleją, oddalają się od miasteczka, stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż giną zupełnie. Obok namiotu zaczyna się młodnik sosnowy, pełen karłowatych sosenek, przetkany strzelistymi kępkami jałowców, rozdeptany mnogością tropów krów i koni, śladów zbiegających się w piaszczystą drogę prowadzącą w kierunku miasteczka, obok niewielkiego cmentarzyska, otoczonego pomalowanym na biało murkiem. Nad cmentarzyskiem rozpostarły swoje rosochate konary pogięte i niskie sosny.

Zmierzch zapadał wolno i spokojnie, jakby zespalał się z wolnym nurtem rzeki, płynącej niewzruszenie, jak przed setkami lat; opływającej błękitne cer-

kiewki skryte w zieleni starych drzew, otoczone pochyłymi ze starości drewnianymi domkami, przed którymi w ogródkach kwitły wysokie malwy.

Do brodu co jakiś czas podejżdza wóz. Koń wchodzi do rzeki, schyla łeb ku wodzie, długo i łapczywie ją chlepta. Na przeciwnym brzegu wieśniacy ładują na wóz siano i zaczyna się wędrówka z powrotem. Koń jest zaprzęzony w hołoble i duhę, w ten charakterystyczny sposób, w Polsce spotykany tylko na terytorium Podlasia. Niektóre z duh są tylko zwykłymi, pałakowato zgiętymi drągami. Niektóre pomalowano na jaskrawy, czerwony kolor lub skromnie ozdobiono nabijanymi w specjalny wzór gwoździemi albo też obito wyciętą w ząbkowany wzór skórą.

Narew, wieś o charakterze miasteczka, prawa miejskie straciła dopiero przed ostatnią wojną, a miała je od początku XV w., nadane przez króla Zygmunta I. Kiedyś znajdował się tutaj dwór wielkich książąt litewskich, którzy zatrzymywali się w nim w czasie podróży na Litwę lub w czasie łowieckich wypraw w knieje Puszczy Białowieskiej.

W lustracji królewskiej z 1576 r. zanotowano: „Domów w tem mieście wszystkiem jest 178, rzemieślników w liczbie 47, to jest: karczmarzów piwnych 12, miodowych 2, piekarczów 5, kołodziejów 12, kowalów 2, bednarz 1, przekupniów 2, rybaków 7, szewców 2, rzeźników 2.”

Dzisiaj mniej jest rzemieślników w Narwi niż przed kilkuset laty. Nie ma śladu dworca książęcego, sławetny właściciel Narwi — Albrecht Gasztold, jeden z największych magnatów litewskich w historii Księstwa, znany jest ogółowi raczej tylko jako pierwszy mąż Barbary Radziwiłłówny, wielkiej miłości Zygmunta Augusta. Dzisiaj wieś Narew prowadzi żywot cichy. Na malowniczym ryneczku kobiety czekają na autobus PKS-u, przed pawilonem sklepowym stoi furmanka, na którą właśnie załadowywana jest gigantycznych rozmiarów łódzka. Koń oczywiście w hołoblach.

Za mostem kolejowym na linii z Bialegostoku do Bielska Podlaskiego charakter krajobrazu zmienia się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Na południowym brzegu, pośród wysokich drzew, oddzielona od rzeki kilometrowym pasem łąk: Strabla. Miejscowość, która mogłaby być wspaniałą perłą turystyczną, ozdobą Podlasia. Wśród drzew budynki o dużej wartości zabytkowej — barokowy wiejski kościółek, drewniany lamus z podcieniami, piękny w swej prostocie i celowości symetrycznych założeń późnobarokowy pałac. Wszystko to opuszczone, w ruinie.

Na wprost Strabli, na przeciwnym brzegu Narwi, drewniane chaty wsi Doktorce, której nazwa pochodzi od założyciela Strabli, od lekarza królowej Bony, noszącego dzwiczne imię i nazwisko — Antonio Croyna de Buseny. Tutaj, według legendy, osiadł, ukrywając się przed zemstą króla po śmierci Barbary Radziwiłłówny, którą jakoby miał otruć na żądanie swojej wielkiej protektorki. Ów lekarz był Polakiem, faktycznie nazywał się Maciej Lis, rodem z Krajny tj. z ziemi nakielskiej. Był profesorem Akademii Krakowskiej już w 1505 r. Za zasługi oddane królowi został nobilitowany, a ok. 1523 r. Zygmunt Stary nadał mu wieś Buzuny koło Strabli. Tak więc w jego włoskim nazwisku brzmią dzwiczne dwie nazwy polskie — Croyna to Krajna, natomiast Buseny to nazwa wioski nadnarwiańskiej Buzuny. Maciej Lis otrzymał zresztą od króla inne nadania. Już w rok po otrzymaniu Buzun własnością profesora Akademii została m.in. Strabla i Doktorce. W Strabli zbudował dwór, zwany Białym Dworem, otoczył go na wzór włoski parkiem. W ostatnim okresie życia był zamożnym człowiekiem. Legendy — jak to zazwyczaj bywa z legendami — nie znajdują potwierdzenia w faktach. Doktor ze Strabli nie mógł otruć Barbary, ponieważ już nie żył w tym czasie. Zresztą, jak wiemy, Barbara Radziwiłłówna umarła śmiercią naturalną. Zadziwiające jest, jak wiele legend, związanych z królową Boną, krąży po

Polsce. Podobną popularnością w Polsce cieszył się wśród ludu chyba tylko Napoleon, z którym związanych jest również wiele nazw miejscowych i legend.

Mówią, że Narew jest czarna, utrzymuje się pogląd, iż dopiero od ujścia Pisy zmienia się kolor rzeki. Tutaj, pod Zawykami, w rzece odbija się błękit nieba, jasny, intensywny, wesoły. Nad zielenią łąk płyną białe puchate statki cumulusów. Z traw podrywają się rycyki, ich jasne, intensywnie brązowe, przetykane bielą i czernią, upierzenie, jest dodatkowym akcentem w tej suicie barw.

Na drugim brzegu długi szereg drewnianych budynków. Siomiane strzechy stodół zbiegają się nad rzeką. Między budynkami wąskie uliczki, błotniste, rozdeptane przez bydło schodzące do wodopoju do rzeki. Na brzegu Narwi kobiety piorą bieliznę przy pomocy kijanek. Co kilkanaście metrów wbity w ziemię pał, do którego przyczepiono łańcuchami kilka łodzi. Pośród nich archaiczne czółna — dlabanki.

Te czółna spotkałem tylko w Zawykach i Surażu, nigdzie indziej na Narwi już się ich nie używa. Teraz powszechne są łodzie zbijane z desek, są bowiem znacznie wygodniejsze i — jak powiedziano mi w Zawykach — „łódź nie kołynie tak jak czółno”. Takie czółno wykonuje się z topoli. Ścięty pień przepoławia się wzdłuż i z obu połówek robi się czółna wyrąbując siekierą wewnątrz drzewa. Do niedawna w okolicach Zawyk pływało jeszcze dziesięć takich czółen. Bardzo przypominają kupieckie czółno sprzed setek lat, wydobyte z dna Pisy i obecnie znajdujące się w skansenie nowogrodzkim. Tamto czółno jest jednak dłuższe i większe oraz inną techniką je wykonano: wewnątrz nie wyrąbowano, lecz wypalano.

Widziałem dlabanki przy brzegu, widziałem i płynące. Są tak związane z krajobrazem i nastrojem tej rzeki, że aż trudno sobie wyobrazić, iż niedługo ich tutaj nie będzie i że — jak wszystko — odejdą w przeszłość...

Na horyzoncie pojawia się Suraż. I już

nie pierwszy raz trudno się oprzeć wrażeniu, że jest to tylko namalowany pejzaż; wznoszący się na wzgórku kościół, obramowany kępą ciemnej zieleni starych drzew, przytulone do stoku wzgórza niewielkie chaty i domostwa, stado gęsi płynących sznurkiem z prądem rzeki. Jest w tym pejzażu nastrój sennego, cichego miasteczka nad rzeką. Narew wciągnęła mnie w świat, w którym nie ma miejsca na inne myśli niż te, które mi towarzyszą; proste i nieskomplikowane — że jest dobrze, cicho i tak bardzo swojsko.

Przy każdej wsi dziesiątki łodzi. To konieczność służąca nie rybołówstwu, lecz komunikacji z drugim brzegiem, z wyspami utworzonymi przez rozdławiające się koryta rzeki.

Narew płynie w szerokiej na kilka kilometrów dolinie. Wsie rozbudowały się na wysokich brzegach nad nurtem rzeki. Od przeciwnego wyższego brzegu oddzielają je kilometry łąk, które trzeba kosić, wypasać, czasem zaościć wyższe miejsca i zasiać zboże lub posadzić ziemniaki. Niejednokrotnie można spotkać łódź wyladowaną kopiasto świeżo skoszoną trawą, kierowaną przez mężczyznę, czasem wyrostka, czasem kobietę. Przez rzekę łodzie kursują nieustannie, są one jak małe prywatne promy — łączą dwa brzegi każdego gospodarstwa.

Za Surażem krajobraz zmienia się jeszcze raz. Rzeką na dobre porzuca już jedno koryto. Są już dziesiątki koryt i nurtów. Muszę się dobrze nabiedzić, aby wybrać właściwe. W pewnym momencie zapędzam się za łodzią wracającego z łąk kosiarza, nie zwracam w odpowiednim momencie uwagi na rozwidlenie i kosztuje mnie to kilkadziesiąt minut straty. Zawracam, szukam skrótów, przebijam się przez szuwały wąskimi kanalikami o szybkim, rwącym nurcie i raptownych, niespodziewanych skrętach.

Z boku, oddzielone od nas pasmem łąk i kilkunastoma korytami rzeki, miasteczko Łapy i rozsiane nad odnogami Narwi przysiółki. Każdy z nich zamieszkały

jest przez jeden ród Łapińskich, potomków szlachty zagrodowej. Z połączenia kilku takich przysiółków powstało i miasto, które poczęło się rozwijać w oparciu o zbudowaną w XIX w. linię kolejową z Warszawy do Petersburga. Linia ta, budowana także dla celów strategicznych, poprowadzona została niemal linią prostą. Ostatecznie przesądziła ona o upadku znaczenia wielu miast i miasteczek położonych nad Narwią, do tej pory najważniejszym szlakiem komunikacyjnym na Podlasiu. Suraż, mający prawa miejskie nadane jeszcze przez Kazimierza Jagiellończyka w roku 1440, musiał ustąpić kilku skromnym wioskom szlacheckiego klanu Łapińskich. Ten sam los spotkał słynny Tykocin, Wiznę, królewski Knyshyn. Dzisiaj są to cenne miasteczka żyjące w cieniu swojej przeszłości.

W czerwieni zachodzącego słońca mijam most „kolei petersburskiej” i wpływam na Bagno Rozgnój. Krajobraz szokujący. Las szuwarów zaskakująco wysokich. Dziesiątki odnóg rzeki. Płytkie rozlewiska z mulistym, bagnistym dnem; bagno autentyczne, groźne, niebezpieczne. Wśród trzcin gwar ptactwa, trzepotanie skrzydeł, piski, kwakania. Co chwilę z obu stron trasy otwiera się widok na płytkie rozlewisko, po którym przestraszona moim pojawieniem się biega łyśki. Bardzo to śmieszne widowisko: całe dziesiątki czarnych ptaków o białym dziobie i czole zrywają się do lotu i lecą tuż nad wodą co kilka metrów odbijając się łapami od powierzchni; wygląda to właśnie tak, jakby te ptaki biegly.

Zapatrzony w te masy ptactwa tracę orientację. Błąkam się po rozlewiskach, przedzieram przez szuwały, przepływam olbrzymie łąki przepięknych białych nenufarów — grzybieni. Jak trafić do brzegu? Widać wysokie topole rosnące na nim; nie można do nich dotrzeć. Zza kępy trzcina dochodzą ludzkie głosy. Tam więc trzeba trafić. Długo się jeszcze błąkam, zanim wreszcie odnajdę wąskie przejście do brzegu.

Za Rozgnojem liczba koryt, którymi płynie rzeka, wciąż liczna. Skręcam w jedno z bocznych, ku widniejącym słomianym strzechom wsi Izbiszczce. Romanetyczne uniesienia muszą ustąpić konieczności. Brakuje chleba. W wiejskim sklepiku nie udaje się jednak zrealizować tego prozaicznego marzenia.

— Chleb dowożą tutaj tylko dwa razy w tygodniu, a najbliższy transport przewidziany jest dopiero za cztery dni. Płyn pan na drugi brzeg, do szlachty. Szlachta ma własny chleb.

W ten sposób po raz pierwszy w czasie wędrówki Narwią stykam się z drobną szlachtą zagrodową, która na Podlasiu zamieszkuje jeszcze wiele wiosek. „Wsie tutejsze są to typowe «okolice» rozrzucone na znacznej przestrzeni, a złożone z kilku zaścianków szlacheckich objętych jedną nazwą, od której biorą nazwę mieszkańcy” — pisał dr M. Orłowicz w wydanym w 1937 r. przewodniku po woj. białostockim. Wydany w drugiej połowie XIX w. herbarz zawierał wiadomości o 641 domach szlacheckich na Mazowszu i Podlasiu, zaś Zygmunt Gloger doliczył się na samej Ziemi Bielskiej blisko 230 domów szlacheckich („dom” równał się nie budynkowi, lecz rodowi). Pod koniec XVIII w., jak notuje J. St. Bystróż, szlachtę szaraczkową oceniano na 400 tys. a więc mniej więcej na 4,5% ludności.

Szlachta ta przybyła na Podlasie z Mazowsza. Książęta i królowie chętnie nadawali obszary leśne w wieczne dziedzictwo, w zamian za obowiązek rycerskiej służby w obronie kraju, najczęściej na obszarach przygranicznych. Także wielcy „panowie szlachta” chętnie zasilali swoje wojsko takimi świeżo upieczonymi szlachcicami.

Jak pisał A. W. Maciejowski (...) „bo gdy wojsko narodowe składało się z rodów, a każdy ród pod własną chorągwią rodowym oznaczoną herbem walczył w szyku wojennym, przeto szlachta chętnie do spółnictwa swego i do herbowego klejnotu przypuszczała ludzi gminnych wolnego stanu, ażeby tam więcej wypro-

wadzić mogła klejnotników pod rozwiniętą do boju chorągwią”.

Już od XV w. powstawały na Podlasiu liczne sioła, zamieszkałe przez szlachtę zagrodową, zwaną także szaraczkową od szarych, ubogich strojów lub zagonową, od tego, iż zagony rolne uprawiała. O nich to pisał Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* (...) „bydło pasą nie w łapciach, lecz w trzewikach, i żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach”.

Zanim uformowały się nazwiska dziedziczne, synów nazywano po ojcu; tak więc — według Glogera — syn Hrynia zwał się Hryniewicz, syn Waśka — Waśkiewicz.

Wiele nazwisk powstawało też od przydomków. Po ojcu przydomek taki nosił syn, następnie wnuk i cały „dom szlachecki” nazywany był np. Górka, Piętka, Baran lub Łapa. Każdy przewodnik wymienia dziś przy opisie Podlasia miasto Łapy, jako przykład miejscowości, która powstała po połączeniu zaścianków szlacheckich o nazwach Łapy — Bociany — Łapy — Goździki, Łapy — Wity itp. Ogółem w Łapach istniało aż 12 zaścianków. W rezultacie urobione od przezwiska Łapa nazwisko Łapiński jest w mieście tak popularne, że pracujących w miejscowych Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego potomków szlachećcy Łapy, dla ułatwienia, numeruje się. Jest więc Łapiński Stanisław ósmy i Łapiński Stanisław dziewiętnasty.

Wioska Sikory została tak nazwana od dziedzicznego domu Sikorów, którzy na Podlasie przybyli zapewne z Mazowsza, gdzie istnieją wsie o tej samej nazwie, wcześniej założone. Około XV w. niejaki Maciej Sikora dziedziczył całą dzielnicę na Podlasiu i podzielił ją między sześciu synów, którzy założyli sześć sadyb, z czasem przekształconych w wioski, zamieszkałe w większej części przez ich potomków. Istnieją więc dzisiaj Sikory Pawłowięta, Bartkowięta, Tomkowięta. W XV i XVI w. weszły w zwyczaj nazwiska kończące się na „ski” i Sikorowie poczęli się zwać Sikorskimi, tak jak Łapa stał się Łapińskim.

„Choć łąta na łacie, ale czołem, panie bracie” — pysznili się podlascy szlachcice swoim pochodzeniem i szlachectwem, chociaż od pogardzanych przez nich chłopów niewiele ich różniło.

Tradycje szlacheckiego pochodzenia w wielu wioskach są dzisiaj jeszcze tak silne, że postronnemu obserwatorowi wydają się być nierealną, egzotyczną, anegdotyczną ciekawostką. Przemysław Burchard w swojej arcyinteresującej książce *Krok za rogatki*, w szkicu zatytułowanym *Boso, ale z herbem*, tak sytuację w szlacheckich wioskach rysował:

„Duma nie pozwalała tym biednym chłopom o szlacheckich nazwiskach imać się jakichś przygodnych zarobków, jak furmaństwo, praca przy budowie szos czy kolei. Stąd ubóstwo, zaś w konsekwencji brak możliwości wydobycia się z tradycyjnej i mało wydajnej gospodarki”.

Chociaż i tu nie ma reguły. We wspomnianych Łapach Jerzy Lovell prosił kiedyś o pokazanie dokumentu herbowego. W odpowiedzi usłyszał: „Panie, stare dzieje, kto by się przyznawał do czegoś takiego”.

Ale wróćmy do Burcharda.

„Tymczasem chłopie ze wsi «włościańskich», jak je nazywała szlachta, nie mieli tego rodzaju oporów. Zdarzało się więc, że chłopów było stać na więcej niż ową szlachtę. Stąd więc żal zapiekły, nieustające pretensje”. Jeden z moich znajomych, który przez kilka lat pracował jako terenowy likwidator PZU, opowiadał, że istnieją wioski, w których wybieranych jest, wbrew wszelkim przepisom i rozsądkowi, dwóch sołtysów — włościański i szlachecki. Organizując np. zebranie w takiej wiosce, należy je przeprowadzać dwukrotnie, z jedną i z drugą grupą mieszkańców. Nie może bowiem zaistnieć sytuacja, w której potomkowie szlachty spotkaliby się w jednej sali z pogardzanymi przez nich chłopami. Jakaż żywa tradycja statutu zawartego w *excepcjach mazowieckich z 1576 r.*, który opowiadał, że „szlachećcy w karczmie nie mają bywać, gdy im umyślnego obcowa-

nia miewać ani z kmiotkami w rzą� siedzieć i piwo pić przystoi”.

Presja środowiska jest na ogół bardzo silna. Możliwość popełnienia „mezalian-su” przez małżeństwo córki szlachcica z chłopem — prawie nie istnieje. Przy najmniej w niektórych wioskach. Burchardowi pokazywano w jednej z wsi zagrodę, stojącą na uboczu, wyobcowaną z gromady wiejskich domów, zamieszkałą przez szlachciankę, która wzięła za męża przedstawiciela „chłopstwa”.

— Wybrała sobie chłopą, niech więc mieszka poza wsią, bo się nas wyrzekła. Nie ma dla niej, ani dla jej męża, wstępu na wiejską zabawę, nie proszą ich na wesela i chrzciny. Tak prawie, jakby nie żyła. Było to w latach pięćdziesiątych!

Andrzej Smorawiński w czasie pobytu w 1971 r. w okolicach Węgrowa ze zdumieniem stwierdził, że w opisywanym przez Burcharda Jaczewie zamieszkuje niezwykle wielu starych kawalerów. Wieś skazana niemal na zagładę, bowiem wobec braku niewiast „szlacheckiego stanu” i przewagi liczebnej mężczyzn, ci ostatni wolą raczej umrzeć bezpotomnie, niż poślubić chłopkę. A przecież związek szlachcica z chłopką jest tolerowany o wiele bardziej niż szlachcianki z chłopem. Chłopka bowiem otrzymuje nazwisko męża i w jakiś sposób zostaje przyjęta do stanu, od którego jej mąż się nie odrzeka.

Dzisiaj jeszcze można obejrzeć, jak szlachcic wypęda krowę na pastwisko, siedząc na koniu. Prowadzenie krowy pieszo? To dobre dla włościan. On w ten sposób demonstrowuje swoją szlacheckość, odmienność.

Po długiej wędrówce Narwią, po pełnych emocji błądzeniach bocznymi korytami tego labiryntu rzeczno, przybijam wreszcie do brzegu przy zagrodach szlacheckiej wsi Radule. Chodzę od chaty do chaty i pytam o chleb. W sklepie oczywiście nie było. Przed jednym z domów stał facet w bryczesach i butach z cholewami. Podchodzę do niego i pytam, czy nie ma u niego chleba, gdyż bardzo

potrzebuję. A wtedy on sięga milcząco do kieszeni, wyjmując z niej pugilares a z niego... dwuzłotówkę, którą następnie wręcza mi bez słowa, nie patrząc na mnie!

Płynę już blisko dziesięć godzin, mam za sobą ponad czterdzieści kilometrów. Zachodzi słońce i trzeba pomyśleć o biwaku. Jak na złość miejsc biwakowych nie spotykam już od kilku godzin. Dobiłam wreszcie do brzegu obok następnej wsi szlacheckiej. Wędruję w kierunku zagrody ukrytej za dorodnym sadem, w którym ustawiono kilkanaście uli, jaskrawo pomalowanych. Teren, na którym zamierzam ustawić namiot, jest terenem prywatnym. Należy więc zapytać gospodarza, czy zezwoli na biwak.

Zagroda jest bardzo nowoczesna, za dbana. Nowy budynek mieszkalny z gancezkiem, porządne zabudowania gospodarcze; wszystko murowane. Na spotkanie wychodzi mi ogorzały mężczyzna w roboczym ubiorze z drelichu, w gumniakach na nogach.

— Dobry wieczór.

Mężczyzna wyciąga rękę, podaje mi ją.

— Dobry wieczór — odpowiada, jednocześnie przedstawiając się — Rzędzian jestem.

Jestem zatem w Rzędzianach! W legendarnej wsi szlacheckiej, o której głośno w literaturze; rozmawiam z potomkiem sprytnego i cwanego Rzędziana z *Potopu*. No, może nie z potomkiem w prostej linii, ale zawsze!

Zezwolenie na rozstawienie namiotu uzyskuję bez trudu, dodatkowo otrzymuję obietnicę sprzedaży mleka z wieczornego udoju. Po kolacji więc wyruszam z menażkami w stronę zagrody pana Rzędziana. Teraz jestem witany przez całą rodzinę. Uwagę moją przykuwa matka gospodarza, starsza pani o niewielkim wzroście i dużym temperamentem i żywotności. Wkrótce już nie ma wątpliwości, kto tutaj jest właściwym gospodarzem. Drobniotka „pani starsza” prowadzi rozmowę z mną ze swadą doświadczonej w konwersacji damy. Dopytuje się, skąd płynę, dokąd się udaję, czym po-

dróżyje, pyta jak mi się podoba w Rzędzianach i okolicy.

Rzędziany są zamieszkałe przez Rzędzianów. Wszyscy ci Rzędzianowie pochodzą od wspólnego przodka, od Stefana Żendziana, który przybył na Podlasie w 1434 r. Pisownia tego nazwiska budzi dziś ożywione dyskusje. I moi Rzędzianowie pytali mnie o zdanie na ten temat. O ile wiem, według zapisów z czasów Księcia Litewskiego Witołda, prawidłowa pisownia brzmiała wtedy Zendzian. Po tem się zmieniła.

Sposób, w jaki Rzędzian zawędrował na karty Trylogii, barwnie przedstawiła Hanna Muszyńska-Hoffmanowa w powieści *Kwitnące fiolety*, poświęconej Rzędzianom i Glogerom, zamieszkującym nadnarwiańską okolicę.

A było to tak. Henryk Sienkiewicz przyjechał w odwiedziny do swojego przyjaciela ze Szkoły Głównej w Warszawie, znakomitego etnografa Zygmunta Glogera, który mieszkał w Jeżewie, w odległości kilku kilometrów od Rzędzian. Razem planowali wycieczkę do Białowieży. Z nimi miał jechać krewniak z rodu Rzędzianów.

„Znakomity pisarz miał rozliczne życzenia związane z myśliwską ekspedycją.

— Potrzebne by mi były, drogi Zyguncie, długie, mocne skórzane buty.

— Bądź spokojny. Mój Rzędzian się o nie postara. Szelma zna jakiegoś bezkonkurencyjnego szewca w tutejszej okolicy — uspokajał jeżewski gospodarz.

— I flinty warto by naoliwić.

— Bagatela. Rzędzian ma na składzie właśnie parę stągwi oleju najprzedniejszego. Zaraz jutro do Jeżewa przywiezie.

— A jakim pojazdem do Białowieży wyruszymy?

— Cygańską budą. Wymarzona na polowanie. I broń, i łomoki, i nas pomieści. Już Rzędzian kończy jej przegląd.

— Czy wiesz, gdzie na popas w puszczy staniemy?

— Ja nie, ale Rzędziana w tym głowa.

Już wszędzie powiadomił leśniczych. Możesz być, Henryku, spokojny. Z naszego Rzędziana aranżer znakomity, że drugiego i ze świecą szukać.

— Dawaj mi tego franta nad frantami. Uważasz, Zyguncie, ja koniecznie potrzebuję takiego obrotnego czelaka do mej nowej powieści historycznej”.

A gdy Sienkiewicz opuszczał już Podlasie, na stacji w Łapach „wychylając się z okna zawołał do jeżewskiego młodego dziedzica:

— Przebóg, Zyguncie, bo na śmierć zapomniałem, jakże mojemu herosowi na imię?

Zygmunt Gloger stropił się. Od tyłu lat Rzędziana wołano tylko przydomkiem, że chrzestne jego imię utonęło w niepamięci. Gorączkowo zaczął kombinować, który to z archaniołów patronuje Rzędzianowi.

— Daj go katy, zapomniałem, Rzędzian i kwita! — wyznał szczerze.

— Niechaj mu będzie tylko Rzędzian — uśmiechnął się pisarz...”

I tak na stronicach tej cudownej książki, do której tak chętnie wracam po kilka razy w roku, pojawił się Rzędzian, człek zaradny, sprytny, cwany. Może zresztą niezupełnie tak było, jak o tym opowiada H. Muszyńska-Hoffmanowa, w każdym razie podobnie, jak wynika to z zapisków samego Sienkiewicza.

Sienkiewiczowski Rzędzian opowiada na stronicach *Potopu*, iż rodzina jego od pół wieku procesuje się z sąsiadami o gruszę, która rosła na miedzy: „Owóż kiedy Jaworscy trzęsą, to i na nasze gruszki padają, a dużo idzie na miedzę, oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich”.

Zamiłowanie do procesowania się wśród szlachty podlaskiej musiało być bardzo duże, skoro doczekało się szeregu anegdot, których nie sposób nie przytoczyć. Na przykład ta:

Na miedzy rozgraniczającej zagony Malinowskich i Kalinowskich rosła stara lipa, na której zagnieździły się wróble. Pewnego razu syn Kalinowskich wystrze-

łał wróble. Widząc to Malinowski pozwał Kalinowskiego ojca do sądu, żądając odszkodowania za... wróble, bowiem lipa rosła bardziej na jego gruntach, więc i wróble jego były. Proces wygrał. I nie byłoby w tym nic specjalnie zabawnego, gdyby nie rewanż Kalinowskiego.

Otóż po jakimś czasie wróble znowu zagnieździły się na lipie. Zaczęły też żerować na polu zjadając proso Kalinowskiego, który w te pędy pozwał Malinowskiego, bo wróble przecie były jego, co nawet sąd orzekł. Proces rewanżowy wygrał Kalinowski a otrzymane przezeń odszkodowanie grubo przewyższało to, które otrzymał poprzednio Malinowski.

Anegdotę tę wyczytałem w książeczce zatytułowanej *Z teki szperacza*, napisanej przez Ryszarda Kraśko, białostockiego dziennikarza o krajoznawczych zamiłowaniach. Pisze on też, że w Rzędzianach pokazywano mu, przysięgając na wszystkie świętości, miejsce, gdzie rosła sławna sienkiewiczowska grusza. Kraśko podaje to jako przykład sugestywnego oddziaływania Trylogii na społeczeństwo polskie. I ma niewątpliwie rację. W okolicach Lipkowa w Puszczy Kampinoskiej, tam gdzie Sienkiewicz umieścił akcję słynnego pojedynku Wołodyjowskiego z Bohunem, wielokrotnie spotkałem się z podobnym traktowaniem sienkiewiczowskich bohaterów. Ba! Lipkowskie opowieści są nawet jeszcze bardziej interesującym dowodem tej siły sugestii, którą niesie za sobą arcyopowieść Sienkiewicza.

Przez kilka lat prowadziłem na terenie Puszczy Kampinoskiej badania toponomastyczne. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, z młodymi i starymi. Wypytywałem ich o nazwy miejscowe, nazwy łąk, pól, fragmentów lasu. Skrzyżowanie kilku dróg w lesie nosiło według informatorów nazwę — Karczmisko. Przeglądając archiwalne mapy odnalazłem na mapie kwatermistrzostwa, wydanej w 1848 r., zaznaczoną na tym skrzyżowaniu karczmę. Mimo, że karczma ta została zlikwidowana gdzieś na początku bieżącego

wieku, nazwa Karczmisko pozostała i informowała nadal o tym, że kiedyś była tu karczma. Najzabawniejsze w tej historii było to, że zapytani „kiedy ta karczma tu była?” — informatorzy moi odpowiadali:

— To było jeszcze za Wołodyjowskiego.

Wielka jest siła literatury!

Rzędziany opuszczam przy kiepskiej pogodzie. Narew w dalszym ciągu rozgałęzia się; znowu błędzenie! Ale podobno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Wszystkie koryta Narwi wiodą w dół rzeki. Ukulem sobie powiedzonko: rzeką dopłyniesz wszędzie. Nie jest bowiem istotne miejsce, do którego chce się dopłynąć.

W siąpiącej nieustannie mżawce docieram do wsi Złotoria, położonej na wysokim brzegu, z którego „roztaczał się urokliwy widok na błękitną Narew i wpadającą do niej nie mniej modrą Supraśl, na zarosłe trzciną i sitowiem brzegi rzek, moczary i szerokie łąki z tyśnięciem chyba stogów siana”.

Zachęcający ten obraz przyszło mi teraz konfrontować z rzeczywistością, zasiąpną, zamgloną, w przenikliwym chłodziu. Modra Supraśl, która na mapie wpadała do Narwi z wielokrotnionym korytem swojej delty, przywitała mnie jednym tylko nurtem, lecz za to zielonkawosinym, cuchnącym, niosącym ścieki fabryczne Wasilkowa, Białegostoku, Fastów.

„Niektóre miejscowości obfitują w raki — notuje *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*. — Najciekawszą pod tym względem jest kilkuwłókowa przestrzeń naprzeciw wsi Złotori, w okolicy ujścia rzeki Supraśl. Do czasu zbudowania kolei petersbursko-warszawskiej miejscowość ta dostarczała raków dla całej okolicy. Żyła niemi w lecie ludność dużej wioski. Po utworzeniu pomienionej drogi, przedsiębiorcy zaczęli dostawiać raki złotoryjskie do Warszawy, wskutek czego nastąpiło takie ich wyniszczenie, że dziś stary,



Tykocin, na którym skończyliśmy gawędę o wędrówce autora, chociaż on płynął dalej. Pomnik Stefana Czarnieckiego dłuta francuskiego rzeźbiarza Pierre'a Coudraya (1763) (fot. Janusz Zmudzński)

duży rak należy w Złotorii do osobliwości”.

Szokujące jest spotkanie z takimi rzekami, które doświadczyły klęski przemysłu nad swoimi brzegami.

Ale zatrucianiu rzek można zaradzić; oto w czasie spływu Narwią przeczytałem w prasie wiadomość, iż staraniem dyrektora fabryki w Czarnej Wodzie zatrucie Wdy zostało wstrzymane i zli-

kwidowane. Panowie inżynierowie, sami namiętni wędkarze, opracowali w czynie społecznym projekt oczyszczalni ścieków, której zainstalowanie położyło kres kiepskiej sytuacji na Wdzie. W Ostrołęce ze zdumieniem obserwowałem miejsce, w którym celulozownia odprowadza wodę przemysłową do Narwi. O dwadzieścia metrów od wypływu wody kapali się ludzie, trzydzieści metrów dalej wędkarze z zapalem oddawali się kontemplacji spławików. Więc można?

Za Złotorią Narew od czasu do czasu „częstuje” nieprzyjemnym zapachem. Na szczęście nie jest to jeszcze dawka przyprowadzająca o młodości. Na piaszczystych łąkach — mnóstwo ptaków: tłumy batalionów (przyplątał się nawet jeden samczyk w szacie godowej; o tej porze roku?), rycyków, brodzieców. Na wodzie stada łysek, krzyżówek, cyranek. Wyciągam atlas ptaków Sokołowskiego i zawzięcie lornetując porównuję rysunki z oryginałami.

Po raz pierwszy widzę Tykocin z wysokiego brzegu ze wsi Góra. Na tle zachodzącego słońca jawi się w oddali jak miasteczko z bajki. I jest tą bajką, najbardziej bajkową, jaką tylko można sobie wymarzyć.

Wpływam do Tykocina w szpalerze szuwarów, rozbrzmiewających głosami ptactwa. Z wody podrywają się liczące setki sztuk stada krzyżówek i łysek. Walcząc z białą falą, gnaną przeciwnym wiatrem, lawirując wśród łąch i mielizn nareszcie dobiegam do brzegu u stóp siedemnastowiecznego alumnatu, w którym dzisiaj mieści się dom wycieczkowy PTTK.

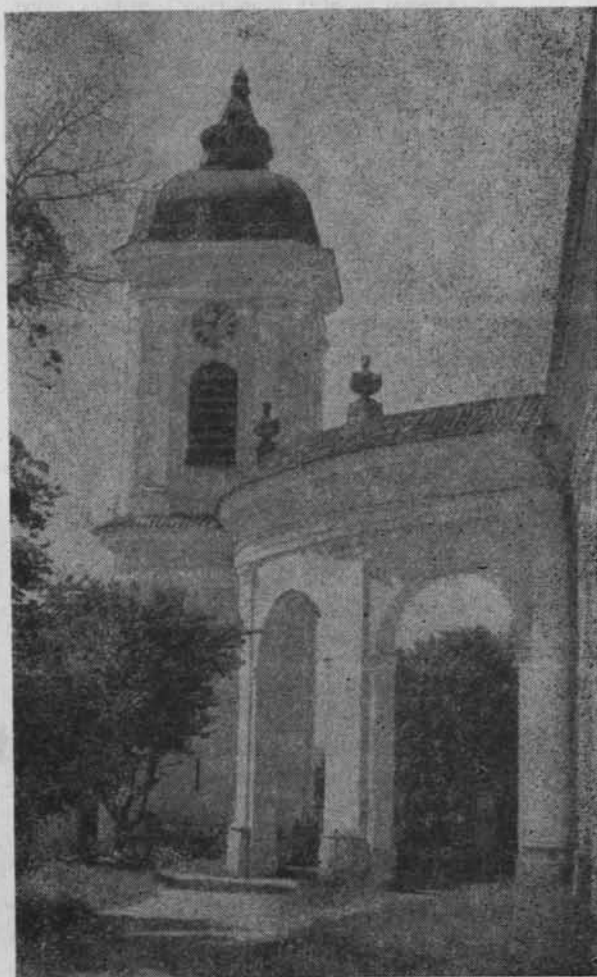
Osada tykocińska powstała nad rozlewiskiem Narwi, które i dzisiaj jeszcze wygląda imponująco. Kiedyś była osadą Jaćwingów, później Tykocin należał do tych osad granicznych, które strzec miały granic Mazowsza przed napadami Jaćwingów i Litwinów. W roku 1424 „w miejscu nizkiem od północy wśród obszernych wąwozów błotnistych, wśród wód i zarośli obszernej niegdyś puszczy,

ciągnącej się kilkanaście mil wzdłuż i wszerz, łączącej się z innymi lasami, nad rzeką Narwią i wpadającymi do niej dwoma rzeczkami bez osobnego nazwiska; w miejscu otoczone od południa wzgórzami założone zostało miasto Tykocin przez Jana starszego, księcia mazowieckiego”.

Dwa lata później z Podlasiem „na skutek zaboru gwałtownego” Tykocin został wcielony do Księstwa Litewskiego. Przez wiele lat należał do magnackiej rodziny Gasztoldów, a w roku 1542 po bezpotomnej śmierci ostatniego z rodu, Albrechta, wraz z ręką jego żony, Barbary Radziwiłłówny Gasztoldowej, przeszedł na własność króla Zygmunta Augusta, tak bardzo z Podlasiem związanego. Okres panowania tego króla był jednocześnie złotym okresem dla miasta. Zygmunt August najchętniej przebywał w pobliskim Knyszynie, gdzie chronił się nie tylko przed licznymi w tym czasie klęskami morowymi, gnębiącymi Europę, lecz gdzie także chętnie polował w okolicznej Puszczy Knyszyńskiej, zajmował się swoją ulubioną stadniną i bawił z licznymi „sokołami”, jak nazywano rozliczne jego kochanki.

W 1544 r. król rozpoczął rozbudowę zamku tykocińskiego, położonego szczególnie dogodnie na wyspie pośród rozlewisk Narwi. W zamku tym zgromadzony został skarb króla, nie mający sobie równych w Europie, przewyższający swoją wartością słynny skarb dołów weneckich. Zamek w Tykocinie często gościł Zygmunta Augusta, który przebywał w nim równie chętnie, jak i w Knyszynie. Za królem zjeżdżali do miasta liczni wielmoże, wojskowi, duchowni, kupcy, handlarze i rzemieślnicy. Przyczyniało się to do bujnego rozwoju miasta, którego mieszkańcy skwapliwie powiększali swoje majątki.

Zamkiem i majątkiem tykocińskim zarządzał przez długie lata Łukasz Górnicki. Skarbu i zamku pilnował należycie, na nic nie zważając powiększał dochody, co zresztą ściągnęło nań skargę podda-



Tykocin, pomisjonarski kościół św. Trójcy (ok. 1742–1750) (fot. Janusz Zmudziński)

nych, „że ich przymusza na ciężkie i ustawiczne roboty na każdy dzień, odpoczynku nie dając”.

Górnicki był jedną z bardziej zajmujących postaci polskiego renesansu. Człowiek wszechstronnie wykształcony we Włoszech, humanista, autor słynnego *Dworzanina polskiego*, w genialny sposób spolszczonego dzieła Włocha Castiglione. *Dworzanin polski* był „pisan w Tykocynie ośmnastego dnia lipca, roku od Narodzenia Pańskiego tysięcznego pięćsetnego sześćdziesiątego piątego” i dedykowa-

ny „Najjaśniejszemu Książęciu a najmłodszemu w Krześcijaństwie panu, Panu Zygmuntovi Augustowi, z łaski Bożej Królowi Polskiemu” etc., etc.

Jednak nie Zygmunt August, ani dwaj inni królowie, nie Łukasz Górnicki i nie Wiesiołowski ani nawet Jan Klemens Branicki, któremu Tykocin dzisiejszy kształt zawdzięcza, nie przeszedł do historii miasta tak jak ten, któremu miasto zawdzięcza stosunkowo niewiele. Dzisiaj jego nazwisko jaśnieje najpełniejszym blaskiem, zna je każdy niemal mieszkający w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Tykocina. Czarniecki!

W czasie splotu, na wiele kilometrów przed Tykocinem, w czasie rozmów z przygodnie napotkanymi ludźmi, słyszałem to nazwisko.

— Dokąd pan płynie? Do Tykocina? Znaczy się, do Czarnieckiego?

W czasie szwedzkiego „potopu” Tykocin, z uwagi na swoje położenie, uważany był za klucz do opanowania Podlasia, tutaj bowiem krzyżowały się szlaki łączące Polskę, Litwę, Ruś i Prusy. Posiadać Tykocin znaczyło bardzo wiele „bo stąd całą okolicę szeroko i daleko w korbach posłuszeństwa utrzymać można”, jak pisał zdrajca Bogusław Radziwiłł do króla szwedzkiego Karola Gustawa. Posiadać Tykocin — znaczyło panować nad Narwią, która od lat służyła do przewozu głównych bogactw Podlasia, drewna i zboża.

Natychmiast po wybuchu wojny Radziwiłłowie umożliwili Szwedom zajęcie Tykocina. Na zamku osiadła załoga szwedzkich rajtarów, pilnująca tego „klucza do Podlasia” i... skarbów, tym razem Radziwiłłowskich. Okolice miasta i samo miasto zostały przekształcone w fortyfikację. Ślady szańców można odnaleźć nad Narwią m.in. na ostrowie pod Kruszewem, zwanym Koziołkiem. Jak głosi nie bez podstaw legenda ludowa, Szwedzi sypali wały nosząc ziemię „w czapkach”; hełmy piechoty szwedzkiej często służyły za łopaty przy sypaniu umocnień.

Zdobycie Tykocina nie przyszło łatwo. Atakowano zamek kilkakrotnie. Bez skut-

ku. Tradycja tych walk żyje wśród okolicznej ludności w postaci niezliczonych legend o fortelach, jakich używali Szwedzi i Polacy. Jakub Antoniuk zanotował w szlacheckiej wiosce Jaworówce opowieść o tym, jak wojska polskie, płynące Narwią w kierunku Tykocina, wysłały naprzód łodzie i tratwy, załadowane manekinami przebranymi w zbroje. Gdy zdeorientowani Szwedzi zaczęli ostrzeliwać manekiny, Polacy zaatakowali tyły i zdobyli zamek.

Pomimo, iż w walkach pod Tykocinem nie brał bezpośredniego udziału, głównym autorem wiktoria nad Szwedami był jednak Czarniecki. Za jego zasługę wojenne, „śmiałego i zwycięskiego wodza w czasach ciężkich i oplakanych, dzielnego partyzanta, cudów waleczności dokazującego”, na sejmie walnym w Warszawie w czerwcu 1661 r. postanowiono:

„dobra królewskie i starostwo tykocińskie, ze wszelkimi dworami, folwarkami, wsiami i przynależnościami, do tych dóbr należąciami *cum jure patronatus*, za zgodą wszech stanów, *authoritate praesentis conventus jure haereditario* onemu i sukcesorom jego *ad perpetuam meritorum* jego *memoriam* oddane zostały, *cum omnibus immunitatibus bonorum terrestrium salvis in integro foundationibus ecclesiasticis et hospitalis* na żołnierzów postrzelonych”.

Po śmierci Czarnieckiego, razem z ręką jego córki Aleksandry, przechodzi Tykocin na Jana Klemensa Branickiego. Branicki był postacią niezwykle interesującą. Jako żołnierz nic sobą nie reprezentował, mimo tytułu wielkiego hetmana koronnego. Miał natomiast fantazję iście szlachecką, utracjuszowską, połączoną z dużym poczuciem humoru (był on kpił z innych, nie inni z niego). Miał też dar wyjątkowo cenny: znał się na sztuce. Branickiemu zawdzięcza sławę Wersal Podlaski w Białymstoku, najpiękniejsze budowle Tykocina powstały z inicjatywy Branickiego.

Na rynku, naprzeciw wspaniałej fasady kościoła parafialnego, wznosi się, ustawiony z inicjatywy Branickiego, pomnik

Czarnieckiego. To właśnie ten pomnik, pierwszy pomnik świecki w Polsce, wzniesiony w 1763 r., stał się symbolem Tykocina. Zabawne, iż wzniesiony został dla uczczenia fundatora, któremu wielki wódz posłużył tylko jako pretekst do utrwalenia jego, Branickiego, sławy. Świadczy o tym wymownie panegiryczny napis na cokole pomnika: „Klemens na Branicach i Ruszczy, wojewoda krakowski, hetman wielki koronny, wnuk jego z córki wystawił, bohater słynnemu bohaterowi, wódz wodzowi...”

A jednak niewiele dziś osób pamięta o Branickim, pomimo jego niezaprzeczonych

zasług. Czarniecki żyje w legendach i opowieściach. Zygmunt Gloger przypisuje to „pomnikowi tego męża na rynku w Tykocinie”. W swojej pracy *Kilka słów o podaniach z okolic Tykocina*, wydanej w roku 1867, tak o opowieściach związanych z postacią Czarnieckiego, pisze:

„Opowiadają na przykład, iż podczas strasznego najazdu Szwedów, gdy cały kraj prawie zburzyli, gdy okrucieństwa czyli jak lud nazywa „pomsta” doszła do tego, że kobiety zarówno z mężczyznami męczono, znalazł się wtedy wielki wojownik Czarniecki, co wszystkich od Szwedów wyswobodził, pokonawszy ich moc

Narew w okolicach Drozdowa (fot. CAF —Sleńko)



i potęgę, pokonał zaś męstwem a więcej jeszcze sztucznymi sposobami, których miał używać.

Dwie wielkie kule armatnie, połączone z sobą długim łańcuchem, jednocześnie z dwóch oddalonych od siebie armat wystrzeliwać kazał na nieprzyjaciela, którego całe kolumny łańcuch zmiatał z kretelem.

Gdy Czarniecki z garstką ludzi był przez wielką moc Szwedów obleżonym w Tykocinie (?), postanowił z wróżby dowiedzieć się, w którą stronę ma z miasta uderzyć na nieprzyjaciela, aby wojsko swe ocalić i wyjść zwycięsko. Z samego więc środka rynku miejskiego puszczone czarną świnię, a w stronę, w którą ta wyrwawszy się pobiegła, uderzył ze swymi Czarniecki i Szwedów pokonał.

Lud utrzymuje, iż w bliskości okopów pod Tykocinem, zwanych Zamczyskiem, Czarniecki ukazywał się niegdyś przejeżdżającym w nocy starą do Tykocina drogą, miał on chodzić po gościńcu z księgą rozwartą w rękę, w ubiorze, w jakim na pomniku jest wystawionym".

Słońce wolno opada ku płaskiej przestrzeni łąk nadnarwiańskich, złoci Tykocin barwą tak intensywną, że aż nieprawdziwą. Zieleń szuwarów, błękit rzeki,

czerwone dachówki domostw, barwy intensywne, to wesołe, to znów melancholijne.

Dzień następny jest jednak uciążliwy ponad miarę. Wiatr przeciwny zamienia rzekę w olbrzymie jezioro. Co kilka kwadransów wpływam pod ochronę wyższego brzegu i odpoczywam. Przy ujściu Śliny wpływam na Mazowsze, zostawiając za sobą Podlasie.

Więc taka jest Narew!

Wpłynąłem na nią pełen lęku i niepewności. Teraz już wiem, jak śmieszne były moje uprzedzenia do tej rzeki. Tu właśnie odnalazłem to, czego szukałem na innych szlakach, to czego nieśmiało oczekiwałem.

Krzewy rokiciny nad Narewką i meandry Narwi opływającej jasne dachy wiossek; rozległość łąk upstrzonych niezliczonymi stogami siana; miasteczka jak z bajki wspinające się na wysokie brzegi rzeki; ciosane siekierą topolowe czółna i stada krów w bezruchu letniego upału; krzyk rybitew, piskliwe głosy broźców i flety rycyków; to wszystko, co powoduje, że dobrze mi na tej rzece, że dobrze jest czuć się wpisanym w ten narwiański pejzaż.